

Stefania Kossowska

Rudy kot

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 1-2 (7-8), 251-252

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

RUDY KOT

Stefania KOSSOWSKA (Wielka Brytania)

Wacio był zawsze bez pieniędzy, ale stan jego finansów w ostatnim miesiącu był gorszy niż wszystko, co zdarzyło mu się dotychczas. Dziewięć szylingów i siedem pensów miało mu wystarczyć na jedenaście dni, aż do chwili, kiedy otrzyma swoje skromne uposażenie, na które zresztą czyhali już dłużnicy.

Nocami zastanawiał się skąd wziąć pieniądze: rozważał możliwości wielkiej wygranej, znalezienie kopalni brylantowej na ulicy, niespodziewany spadek po nieistniejącym krewnym, nawet posuwał się do marzeń o bezkarnym obrabowaniu większego banku. Rozważania te kończyły się zawsze na żmudnych obliczeniach, ile dziennie może wydać, jeśli podzieli dziewięć szylingów i siedem pensów przez jedenaście.

Skrupulatnie obmyślany budżet nie wytrzymywał dotychczas próby życia. Niemniej Wacio wstał w poniedziałek rano z postanowieniem, że tym razem narzuci sobie żelazną dyscyplinę. Wyszedł z domu zdeterminowany i przygotowany do twardego życia.

Mijając narożny dom po drodze do autobusu, nagle się zatrzymał. Na murze, oddzielającym ogród od ulicy, przy którym stawał niemal co dzień, by pogłaskać leżącego tam zwykle, wspaniałego, rudego kota — wisiała kartka.

Wacio z zapartym oddechem czytał jej treść, zagubioną wśród dramatycznych wykrzykników i podkreśleń. Początkowo do jego świadomości przedostało się tylko jedno — cyfra trzech funtów. Dopiero po przezwyciężeniu pierwszego wzruszenia, zrozumiał, że wymieniona suma była nagrodą za znalezienie rudego kota, który zginął dwa dni temu.

Jadąc autobusem do biura, Wacio nie odrywał oczu od okna. Liczył na cud, a cuda zdarzają się przecież, gdy się w nie żarliwie wierzy. Autobus biegł w pędzie koło Hyde Parku, gdy naraz Wacio ze zduszonym okrzykiem zerwał się z miejsca, roztrącił przerażonych pasażerów autobusu i zaczął gwałtownie dzwonić. Autobus posłusznie stanął, nie tyle z powodu dzwonka, ale dlatego, że właśnie był przystanek.

Wacio, ruszył, jak na starcie stumetrówki w stronę gdzie ujrzał przed chwilą... Tak, to nie było złudzenie; pod krzaczkami na trawniku wygrzewał się w słońcu rudy kot sąsiadki. Wacio zwolnił biegu. Zaczął się teraz zbliżać z czułością, jakiej nie zdołała wykrzesać w nim żadna kobieta:

— *Pussy*, śliczny *pussy*, nie uciekaj koteczku...

„Koteczek” nie miał zamiaru uciekać, wyprężył tylko złowrogo grzbiet i prychnął, by mu dać spokój. Ale nie taka trudność mogła Wacia zniechęcić. Złapał kota i wyrwijającego się, prychającego, drapiącego trzymał kurczowo, zdecydowany na wszystko, tylko nie

na wypuszczenie swej zdobyczy. Ludzie zaczęli się zbyt interesować całą sceną i nie było innego wyjścia tylko wsiąść do nadjeżdżającej taksówki.

Zajechawszy pod dom sąsiadki, Wacio zadzwonił tryumfalnie. Otworzyła mu pogodnie uśmiechnięta staruszka, ale obojętność z jaką spojrziała na szamocącego się kota, obudziła w Waciu najgorsze przeczucia. Wyjaśnił swoją wizytę a staruszka obdarzyła go najpromienniejszym uśmiechem.

Jakże to niezwykle miło z jego strony, *how very, very sweet of you* — że się tak trudził, ale niestety, obawia się, niezwykle jej przykro, że to nie jest jej kot.

Wacio starał się ją przekonać, argumentował, powołując się na swoją długą znajomość z kotem:

— Niech się pani dobrze przyjrzy, przecież on ma taką samą białą plamę pod gardłem i na jednym uchu, jak pani kot. I taki sam ogon.

Ale staruszka była nieugięta i nawet lekko urażona:

— Moja Tibby ma znacznie, znacznie dłuższy włos niż ten kot. Ja znam Tibby od ośmiu lat. I to nie jest Tibby.

Nie było na to rady. Wacio spróbował sprawę ująć inaczej i bąknął coś o wydatku na taksówkę, o spóźnieniu się do biura itd. Ale w niebieskich oczach staruszki nie było śladu zrozumienia przymówki. W pewnej chwili tylko zatroszczyła się:

— Ale ten biedny kot wygląda na głodnego. Dam mu trochę mleka.

Wacio chwycił się tej propozycji, by choć pozbyć się kota. Skwapliwie wręczył go staruszce i pożegnał się, twierdząc, że musi pędzić do biura.

Nie poszedł jednak do biura. Złamany wrócił do domu, aby oddać się obliczeniom: zmarnowany bilet do biura — 4, taksówka — 2/6, razem — 2/10. Na jedenaście dni pozostaje więc — 6/9. Dziś będzie siedział w domu bez obiadu, a jutro — zobaczymy.

Ale jutro przyniosło niespodziankę. Ranną pocztą przyszedł list z biura, treści mniej więcej takiej: Wczorajsza nieusprawiedliwiona pana nieobecność w biurze zdarzyła się po raz jedenasty w tym miesiącu. Przykro nam, ale niestety z powodu zaniedbywania przez pana obowiązków, zmuszeni jesteśmy od pierwszego zrezygnować z pracy pana...

Wyszedłszy z domu, w drodze do „Ogniska”, by zjeść obiad za ostatnie pieniądze, Wacio, jak zawsze musiał minąć dom swej staruszki-sąsiadki. Na murze nie było już ogłoszenia, tylko na słońcu wygrzewał się rudy kot. Pod gardłem miał białą plamę i biały koniec jednego ucha i gdy Wacio stanął nad nim spojrzął na niego przymrużonymi oczami, w których malowała się niewysłowiona ironia.

„Polska Walcząca” 1948 nr 1.